

1. FINKA

Grudzień 2012, Gliwice

– Następna stacja: Gliwice.

Głos zapowiadający kolejne stacje wydawał się coraz bardziej znużony, w przeciwieństwie do Finki, w której nazwa rodzinnego miasta wywołała nieśmiałą ekscytację. Poprawiła się w fotelu i wróciła do spoglądania przez okno, starając się przygotować na powitanie przykurzonych wspomnień. Dzień powoli odchodził, tracił kolory, lecz to odcienie szarości dodawały teraz mistyki. Błogość ogarniała jej ciało. Nagły błysk lampy oświetlił przedział i intrygujący widok zniknął. Poderwała się z miejsca, znalazła wyłącznik. Powrócił przytulny mrok. Szczęśliwie cały przedział należał do niej, nikomu nie będzie przeszkadzać półmrok, pasażerowie stopniowo wykruszali się na trasie.

Z przyjemnością wtuliła się w fotel. Uwielbiała ten moment dnia, gdy drzewa traciły wyrazistość, a przedmioty kształty. Horyzont zanikał, rozmywał się jak farba na akwareli, która samoczynnie rozlewa się po papierze, aż osiągnie pożądany kształt.

Szara godzina. Chwila przejścia, gdy człowiek jest świadkiem magii, która dzieje się na jego oczach. Czemu tak rzadko ją zauważa, pozwala jej minąć? Zanurzony w swych banalnych działaniach, niedających grama zachwyty. A ona? Ilu chwilom pozwoliła przemknąć niezauważanie, skupiona na czymś, co nie było warte nawet spojrzenia?

Obrazy zniknęły, choć oczy próbowały jeszcze wydobyć z mroku poszczególne elementy. Spojrzała na zegarek, jeszcze ze dwa kwadransy i pewnie światła miasta znowu pozwolą na rozpoznawanie szczegółów. Łagodny stukot pędzącego pociągu nadawał rytm: „masz czas, masz czas, masz czas...”. Czas był sprzymierzeńcem, jak nigdy. Nie pamiętała, od kiedy czuła nieograniczoną swobodę. Igor powtarzał, że kiedyś i ona to doceni.

Znajdzie miejsce, gdzie nie będzie się spieszyć. W końcu nie

musiała się tłumaczyć, kiedy wróci, gdzie idzie, dlaczego wychodzi i z kim. Szkoda, że nie może podzielić się z Igorem tą wiadomością. Napisze, może uda się wyjaśnić, dlaczego tak długo zwlekała. Dlaczego wcześniej wydawało jej się, że nie da rady, że nie może niczego zmienić. Dopiero tamten wieczór zburzył poukładany świat. Jak kruchy musiał być... Z tego też nie zdawała sobie sprawy.

A Gustaw? Przymknęła oczy. Czy on wiedział?

Wspomnienie zabolalo. Dotknęła policzka. Jeszcze wczoraj rano czuła pulsującą tkankę. Dziś był chłodny. Czy to możliwe, że ciała wychładzają się tak szybko? Chłód pojawia się bez ostrzeżenia. Otuliła się jedwabnym szalem, choć tym razem bardziej przydatny byłby wełniany pled.

Ile trzeba czasu, by serce przestało przyspieszać na dźwięk czyjegoś imienia?

Ciotka Camille powtarzała, że łopoty serca, zwiewne jak obłok, kruche jak dym, to stanowczo przeceniany stan.

„Masz czas, masz czas, masz czas...” – rytm serca został nieoczekiwanie zgrany z rytmem pociągu. Odetchnęła. Powinna częściej podróżować koleją. Samoloty są przereklamowane.

Żłudną oszczędność czasu, którą obiecują, i tak nie daje się wykorzystać sensownie. A i lotniskom daleko do klimatu dworców.

Te ostatnie odwiedzała od dzieciństwa, nawet gdy nie wyruszała w podróż. Wchodziła na perony, przyglądała się podróżnym, zatrzymując w duszy, a potem w obiektywie, nostalgiczne kadry.

Gdy w ciemni pochylała się nad kuwetą z fotograficznym roztworem, szukała światła, które odda zapamiętany klimat. Czasem bywała zadowolona. Zbyt rzadko.

– Zbliżamy się do stacji: Gliwice. Pociąg kończy bieg.

Pociąg kończy bieg, a jej podróż dopiero się zaczyna. Rozsunęła drzwi przedziału, na końcu korytarza sylwetka kolejarza podającego walizkę. Żadnego czekania przy taśmach i wypatrywania

bagażu. Powinna częściej podróżować koleją.

Peron drugi, ulubiony. Tutaj z babcią Isabelle czekały na powrót mamy. Gdy pociąg się spóźniał, szły do kiosku i kupowały po bułce z serem. Smakowały jak żadne inne, może dlatego, że niosły obietnicę rychłego spotkania z mamą. Potem wracały do domu, we trójkę, ona w środku, ściskając mocno dłoń mamy. Gdy miały szczęście, zatrzymywały się jeszcze przy sklepiku z bagietkami. Mama mówiła, że gliwickie są nawet lepsze niż te z Paryża. Wtedy nie wątpiła w jej słowa, przecież tutaj wszystko jest najlepsze.

Czy faktycznie uda się odnaleźć zapomniany smak dzieciństwa?

Czy miasto pozwoli jej jeszcze raz na nowo poukładać życie, jak kiedyś jej babci?

Nagła decyzja o ucieczce, o której teraz myślała raczej jak o powrocie, wydała się najrozsądniejszym rozwiązaniem, na które wpadła, zresztą w ostatniej chwili. Pakowała się w pośpiechu, chciała zdążyć przed powrotem Gustawa. Dorzuciła najważniejsze rzeczy do walizki, której nie zdążyła jeszcze porządnie rozpakować, i wybiegła z mieszkania. Planowała jechać na lotnisko, ale w taksówce zmieniła zdanie. Gare de l'Est zawsze obiecywał ekscytującą podróż, nieprzypadkowo stąd ruszał Orient Express. Gdy usłyszała zapowiedź pociągu do Wiednia, uznała to za znak. Dopiła espresso i kupiła bilet. W Wiedniu nie czekała długo. Po kilku godzinach była na miejscu. Tylko, czy na właściwym? Czy o to jej chodziło?

Pomyśli o tym jutro. Zajrzała do torebki – w środkowej przegródce czekał mosiężny klucz. Ostatnie zadanie na dziś to sprawdzić, czy nie zawiedzie. Plan wykonany, Elza byłaby zadowolona.

Pisk. Wyrwana ze snu Finka usiadła na łóżku. Tak, wie, zaraz wstawi kawę. Kawa nie może czekać, tego skutecznie nauczył ją

Gustaw. Odkąd zamieszkali razem, niezmiennie dbała, by, zanim on się obudzi, filiżanka espresso czekała przy łóżku. Gorąca, bo nie znosił innej. Pamiętała poranek, kiedy zabrakło kawy. Zwyczajnie zapomniała kupić. „O niczym nie pamiętasz! Taka prosta rzecz! Powtarzam, zawsze, ZAWSZE!, zapasowa paczka ma być w szafce! Czy twój mały mózg nie może tego ogarnąć?” Oparła się o ścianę, schowała twarz, chciała się ukryć. Zniknąć. Potem przepraszał. To robił z wdziękiem. Ogromny bukiet wstawił do wazonu, tuż przy szafce, jakby starał się zasłonić wstydlive miejsce. Płatki opadły następnego dnia. Widać nawet one nie miały siły, by tu przetrwać.

Kolejny przenikliwy pisk. Rozejrzała się w poszukiwaniu źródła i odetchnęła. Przecież teraz ona była daleko. Miała nadzieję, że wystarczająco daleko. Jak dobrze, że nigdy nie podała mu adresu. Nawet nie pytał, po co miałby wybierać się do Gliwic. Z taką pogardą wymawiał tę nazwę.

Podniosła telefon. Domagał się ładowania, wydając z siebie ostatni szept energii. I tak dawał z siebie więcej, niż obiecywano. Znajome skrzypienie parkietu. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak jej tego brakowało. Weszła do kuchni. Kiedy ostatnio ktoś parzył tutaj kawę?

Gwizd gotującej się wody przyspieszył poszukiwania. Znalazła herbatę i szklaną buteleczkę. Odkręciła. Zapach czarnego bzu uderzył w nozdrza. Chyba takie rzeczy się nie psują? Zresztą, co miała do stracenia?

Wróciła do sypialni. Mimo wczesnej pory nie czuła potrzeby, by łapać resztki snu. Może w końcu polubi wczesne wstawanie? Gustawowi to by się podobało. Zagryzła zęby. Nie chce o nim myśleć, nie chce przywoływać. Gównu ją obchodzi, co by mu się spodobało. Gówno, gówno, gówno! „Skąd te słowa, przecież dama nie używa takich słów”. „Ależ ciotko! Ja nie jestem damą”. Nigdy nie była i nie chciała, choć Gustaw chciał.

Kurwa! Znowu Gustaw. Pieprzony Gustaw. Od tego momentu za każde przywołanie tego imienia kara – musi zrobić dziesięć podskoków albo skłonów, albo lepiej dwadzieścia. To dobry pomysł, nigdy nie lubiła ćwiczyć, nie była Elzą, ale nie lubi łamać danego słowa, zwłaszcza danego sobie.

Oparła poduszkę o zagłówek. Wyciągnęła nogi. Poranek z herbatą z sokiem z czarnego bzu wydał się zaskakująco owocny. Jedno celne postanowienie i od razu życie nabiera właściwego kierunku. Już wczoraj wiedziała, że lepszej decyzji nie mogła podjąć.

Kubek nadal trzymał ciepło. Ostrożnie upiła łyk. Babcia Isabelle przygotowywała dokładnie taką samą. Popijały ją obie, zanim wyruszyła do szkoły. Zimą jej ciepło rozgrzewało na długo.

Choć Finka marzyła, by czasem przygotowała ją mama. Albo nawet nie musiałyby nic robić, wystarczyło, aby tylko była tu, na miejscu, w tym swoim gniazdku, które przecież tak uwielbia.

Wcale tego nie mówiła. Ale Finka to czuła, od początku.

To mieszkanie sprawiało, że mama nabierała łagodności. Była zupełnie inna niż tam, na Sikorniku, w mieszkaniu taty, co podkreślała.

Finka kiedyś zauważyła, jak mama głaszcze klamkę.

Zdziwiło ją to, ale bała się poruszyć temat. Kiedyś zapytała babcię. „Przywidziało ci się. *C'est pas possible*”. Jak niemożliwe?

Wcale się nie przywidziało, choć z pozoru wydawało się głupie.

Podświadomie czuła, że mama kocha to mieszkanie, obdarza większą czułością niż ją czy babcię. Ale z upływem czasu nauczyła się nie pytać. No chyba że Elzę. Ona jej nie zbywała. Tyle

lat, a wspomnienie jej śmiechu trwało niezmiennie, bez zniekształceń.

Razem nieustająco próbowały wyjaśniać zawilóści świata. A nabyta umiejętność niepytania przydała się, zwłaszcza w kontakcie z...

No okej, nie będzie oszukiwać. Czas na podskoki. Bez uników i migania się.

Ufff, koniec. Usiadła, nie wiedząc, ile ich wykonała, ale na pewno przekroczyła dwudziestkę. Zresztą chwilowa zadyszka okazała się całkiem przyjemna. Kiedyś kochała skakanie przez skakankę, jedyna dyscyplina, w której wygrywała z Elzą. Może skakankę uda się odnaleźć? Pewnie kurzy się w którejś z szuflad. Ciekawe, co się dzieje z Elzą.

Elza, znowu Elza. Skąd nagle w jej głowie, po tylu latach?

Dziś już któryś raz przywołała to imię.

Dzwonek telefonu rozerwał ciszę. Rzut oka na wyświetlacz.

Musi zablokować numer. Albo lepiej – sprawić sobie nowy.

To zdecydowanie uprości życie. I koniecznie musi napić się

kawy. Rozejrzy się po okolicy. Znajdzie przyjemną kafejkę

i zrobi plan. Własny osobisty plan na najbliższe dni, a może

i tygodnie. Poza kupnem telefonu i odszukaniem skakanki miała

jeszcze kilka rzeczy do zaplanowania. Ale po kolei. *Sans hâte*,

bez pośpiechu. „Masz czas, masz czas, masz czas...” – serce samo

odnalazło wagonowy rytm.

W spokoju z przyjemnością dopiła herbatę. Łyk za łykiem.

Grudzień zapowiadał się pogodnie.